

Wenezuela na widelcu. Co się stało?

25 maja 2018

Młody, płonący mężczyzna w masce biegnie wzdłuż ściany, na której widać namalowany pistolet. Z jego lufy wyskakuje słowo „pokój”, pewnie wieczny. Zdjęcie, które wygrało World Press Photo, zostało zrobione na ulicy Caracas, by stać się światowym symbolem losu Wenezueli, jednocześnie bliskim i dalekim od prawdy. 19 lat temu imperium amerykańskie przegrało w tym kraju, teraz kontratakuje. Ale to nie jedyna przyczyna kłopotów.



Fotografia Ronaldo Schemidta powstała w maju zeszłego roku. Był to jeden z czterech miesięcy gwałtownych zamieszek w stolicy kraju, gdy prawicowa opozycja poderwała młodzież z bogatych dzielnic do siłowego obalenia prezydenta Nicolasa Maduro, a wraz z nim „socjalizmu XXI wieku”, który próbuje wprowadzić. To nie były ot, takie sobie starcia z policją, jakie zdarzają się w Europie. Manifestanci strzelali, krew lała się po obu stronach, padło ponad stu zabitych. Opozycja nie mogła wygrać, bo brak jej szerszego społecznego poparcia, ale jak wcześniej i później, w zachodnich kręgach polityczno-medialnych to wenezuelski socjalizm wskazano jako

nieodwołalnie przegrany.

Wenezuelski przykład stał się ogólnoświatowym straszakiem na lewicę. Urósł do elementu polityki wewnętrznej we Francji, Hiszpanii i w innych krajach Europy, w prawicowych krajach Ameryki łacińskiej i oczywiście u Anglosasów. Patrzcie, wołają media i komentatorzy, do czego prowadzi socjalizm: do chaosu i biedy. Wstydzcie się ludzie lewicy za Wenezuelę – wałkują triumfujący propagandziści, by zmusić przeciwników niepodzielnej władzy kapitału do spuszczenia oczu. W tym kontekście, ogłoszenie przez Trumpa kolejnych sankcji finansowych przeciw Wenezueli, nazajutrz po wygranych przez Maduro wyborach, ma się wydawać logicznym dobiciem jego kraju. Zwycięstwo to porażka. Wojna przeciw Wenezueli, na razie gospodarczo-polityczna, to pokój.

SZUKANIE GENERAŁA

Oczywiście nikt z dzisiejszych politycznych krytyków nie zawracałby sobie głowy Wenezuelą i jej wyborami, gdyby jej głównym bogactwem były mango i banany. Ale ten kraj ma dziś przeciw sobie sankcje Unii Europejskiej, izolację ze strony prawicowych krajów własnego kontynentu i natężoną wrogość imperium, bo posiada największe poświadczone rezerwy ropy na świecie, położone w strategicznym miejscu, o 4 dni morskiego transportu od teksańskich rafinerii.

Nikt nie czepiał się Wenezueli, gdy 60 proc. jej obywateli żyło poniżej progu ubóstwa, bo należała do amerykańskiego ogródka: Waszyngton zawsze traktował Amerykę łacińską jako swą ekskluzywną domenę. Gdy pod koniec lat 70 na kontynencie zaczął rządzić amerykański neoliberalizm – „genialna” pompa ssąca bogactwa z dołu do góry drabiny społecznej – było na nim 120 milionów nędzarzy, 20 lat później już 225 milionów. To dlatego pojawili się Chavez, Lula i inni.

W sierpniu zeszłego roku Trump ogłosił, że nie wyklucza „opcji militarnej” w Wenezueli, choć ten kraj nie zagraża imperium

ani sąsiadom. 16 lat temu Amerykanie zorganizowali (nieudany) zamach stanu przeciw Chavezowi, a teraz, od jego śmierci w 2013 r., szczególnie gorączkowo poszukują wenezuelskiego Pinocheta, który przywróciłby imperialny porządek i panowanie nad ropą. W miniony wtorek wenezuelska żandarmeria aresztowała 11 oficerów podejrzanych o formowanie spisku, ale lokalnego Pinocheta ciągle nie ma. Armia pozostaje wierna prawowitemu rządowi.

WYBORY OPOZYCJI

„Weryfikowaliśmy 92 procesy wyborcze: powiedziałbym, że wenezuelski jest najlepszy na świecie” – mówił sześć lat temu były prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter. Nie bez kozery: działa tam skuteczny system przeciw oszustwom. Każdy głos jest potrójnie gwarantowany: przez odcisk palca, elektronicznie i na papierze. Do tego zawsze obserwatorzy międzynarodowi. Maduro, jak Chavezowi, zależy na pewnych atrybutach tradycyjnej, liberalnej demokracji, bo jest pewny siły swoich idei społecznych.

Wiedzą to w Ameryce i w Europie, ale Unia, ledwo Maduro został ponownie wybrany, poszła śladem Trumpa i wprowadza właśnie nowe sankcje przeciw Wenezueli. Były „nieprawidłowości”, bo „głosy zostały kupione”. Unia powtarza argument głównego, przegranego, opozycyjnego kontrkandydata Maduro, Henriego Falcona, którego zdaniem na głosowanie wpłynęły programy socjalne rządu... Tego samego dnia Unia mogłaby wprowadzić sankcje przeciw co najmniej kilkudziesięciu krajom na świecie, gdzie wybory są komedią lub nie ma ich wcale, ale chce wziąć udział w dobijaniu Wenezueli, mając nadzieję, że w zamian za to Waszyngton pozwoli jednak europejskim przedsiębiorstwom handlować z sankcjonowanym Iranem.

W ciągu 19 lat rządów socjalistów odbyły się w Wenezueli 23 procesy wyborcze. Chawiści większość wygrywali, a opozycja traktowała je tak instrumentalnie, że w rezultacie utraciła miliony wyborców. Czy ma ona coś wspólnego z demokracją? Gdy w

2015 r., kiedy ceny ropy były na samym dole i kryzys poważnie zaczął zaglądać ludziom w oczy, wygrała wybory parlamentarne: jej pierwszym ogłoszonym zamiarem było „obalić prezydenta Maduro w ciągu sześciu miesięcy”. Prezydenta, który dwa lata wcześniej wygrał wybory. Nastąpiła potem epoka kwestionowania głosowań. To dlatego zeszłoroczne rozruchy miały znowu obalić rząd siłą. Kiedy się nie udało, ta sama prawicowa opozycja jednak zdecydowała na nowo brać udział w wyborach (regionalnych, w październiku) wiedząc, że są uczciwe, by po ich przegraniu „bojkotować” prezydenckie, zakończone w ubiegłą niedzielę. Nie miała w nich szans, z powodu zwykłej utraty wiarygodności. Mimo poparcia prywatnych mediów i „społeczności międzynarodowej”.

KRYZYS I KŁOPOTY

Boliwariańska rewolucja w Wenezueli nie ma wiele wspólnego z np. kubańską. Zachowano wielopartyjność, prywatne media, i – mimo znacznych nacjonalizacji – rolno-przemysłowy sektor prywatny, kapitalistyczne stosunki produkcji i handlu, by uzupełniać je o inne formy i przede wszystkim przekierować dystrybucję zysków z ropy z góry na dół. Lewicowa krytyka wenezuelskiej gospodarki twierdzi, że polityka ekonomiczna kraju była jednak mało socjalistyczna. Jej wynikiem był stały proces dezindustrializacji na korzyść finansowej kasty importerów, która rozwijając ludowy klientelizm drastycznie przyspieszyła recesyjną fazę kapitalistycznego cyklu gospodarczego. Procesowi akumulacji kapitału opartego na przejęciu zysków z ropy towarzyszyła cokolwiek szalona polityka monetarna.

Chęć nakarmienia ubogich od początku oznaczała gigantyczny wzrost importu, aż do popadnięcia w nagły konsumpcjonizm. Jego promocja była tak szczodra, że państwo sprzedawało petrodolary prywatnym importerom za śmiesznie niską cenę w bolivarach (wenezuelskiej walucie). Praktycznie z 10 sprzedanych dolarów 9,5 dostawali za darmo. Ten lukratywny transfer renty z ropy w kierunku sektora prywatnego okazał się bardzo kosztowny i

szkodliwy dla całego państwa. Na dodatek znaczna część importu za niemal darmowe dolary była fikcyjna, żadne towary nie pojawiały się w portach, Wenezuela przez lata przypominała dziurawy garnek, z którego twarda waluta wyciekała ciurkiem na zagraniczne konta. W czasach drogiej ropy import był tak tani, że coraz większej liczby rzeczy nie opłacało się po prostu produkować, przemysł zamierał, jak i rolnictwo. Taka polityka nie miała nic wspólnego z socjalizmem inspirowanym Marksem. Kiedy cena ropy spadła, zaczęło brakować niemal wszystkiego. Wielostronne sankcje finansowe, które paraliżują państwowy import żywności i lekarstw, dopełniły dzieła.

Dziś Wenezuela ma na plecach pięciocyfrową hiperinflację, dwucyfrowy deficyt fiskalny i najniższy od 20 lat stan rezerw walutowych (nieco ponad 9 miliardów dolarów). Wartość tzw. dolara równoległego wzrosła w ubiegłym roku o 2500 proc., co dosłownie rozbiło w pył siłę nabywczą ludności. W sąsiedniej Kolumbii, gdzie w najbliższą niedzielę odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich, prawicowy kandydat Ivan Duque afiszuje hasło „Chcecie socjalizmu, to zobaczcie nędzę Wenezueli”. Tylko neoliberalizm ma być prawidłową drogą. Ale dwa miliony Kolumbijczyków, którzy w czasach Chaveza wyemigrowali do Wenezueli, by przed takimi receptami uciekać, nie ma specjalnie zamiaru wracać.

CZARNE CHMURY

Dla większości mieszkańców Wenezueli nazwisko Chaveza kojarzy się z redukcją nierówności i ludową prosperitą w kontekście pogłębionej demokracji. Dla kontrastu Nicolas Maduro – raczej z powrotem biedy i usztywnieniem polityczno-politycznym związanym z izolacją międzynarodową i zagrożeniem ze strony Waszyngtonu. Frekwencja w wyborach, które ponownie wyniosły go na najwyższe stanowisko, była stosunkowo niska, co jest dlań mocnym ostrzegawczym sygnałem. Jednak ludzie na niego głosowali, bo mimo wszystkich trudności, które wolą zresztą przypisywać raczej amerykańskim „gringos”, nie chcą powrotu do czasów sprzed Chaveza, gdy nie znaczyli niemal nic.

Podśmiewają się trochę z Maduro, krytykują go, ale szanują, bo ich zdaniem szczerze chce ratować kraj. Może nie wciela tak dobrze jak Chavez „wenezuelskiej dumy”, ale ciągle daje nadzieję.

Zdaje się, że zrozumiał główny problem. Nie przestaje mówić o dywersyfikacji dochodów (nie tylko ropa), budowie przemysłu, odbudowie bardziej racjonalnej roli pieniądza. Dwoi się i troi, by ożywić gospodarkę, ale na horyzoncie ma dziś same czarne chmury, będzie mu bardzo trudno. „Nigdy nie widzieliśmy tak bezlitosnego ataku międzynarodowego na proces wyborczy” – mówiła wczoraj przewodnicząca krajowej komisji wyborczej Tibusay Lucena. Wenezuelskie MSZ potępiło „lincz gospodarczy i polityczny” Wenezueli ze strony USA, gdzie rządzi „suprematystyczny, rasistowski i wojenny reżim (...) inspirowany postulatami Ku-Klux-Klanu.” Maduro, oprócz naprawy gospodarki, musi doglądać sytuacji na granicach państwa, patrzeć na siedem baz amerykańskich w Kolumbii, na postępującą organizację zbrojnej interwencji, która może przyjąć niespodziewane formy – z terroryzmem włącznie. Po prostu zbyt wielu potężnych ludzi chciałoby widzieć Wenezuelę jak na zdjęciu Ronaldo Schemidta.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Zdjęcie: Ronaldo Schemidt (World Press Photo)

Źródło: Strajk.eu